



**Kazimierz
Szymeczko**

**POŚCIG
za czarną
HONDĄ**



Kazimierz Szymeczko
Pościg za czarną hondą

© by Kazimierz Szymeczko
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Katarzyna Kołodziej

Korekta i skład:
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie III

ISBN 978-83-7672-566-6

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wydawnictwoliteratura.pl

Jeleń poluje na dzięcioły

– Gogel, ile razy mam ci tłumaczyć, że dobra szkoła średnia... – przerwałem, bo wyraz jego twarzy nie zachęcał do dalszych wywodów.

Siedzieliśmy na parapecie okna, korzystając z tego, że na końcu korytarza nikt nie zabraniał tej zakazanej przyjemności. Poza tym był to nasz parapet, więc sami pilnowaliśmy, by nikt nie łamał regulaminu. Prawo do bezpłatnej nauki ma każdy, ale na prawo do posiadania osobistego parapetu trzeba pracować latami. Inna sprawa, że jakiś czas temu byliśmy zmuszeni go odmalować i był to jedyny w szkole czerwony parapet, bo nie dysponowaliśmy akurat inną farbą. Siedzieliśmy na legendzie.

Gogel wystawił grzbiet na promienie kwietniowego słońca i ziewnął z zadowoleniem.

– Master, znamy się od przedszkola. Ile razy słucham twoich dobrych rad, tyle razy wychodzi na opak. Ty masz tytuł absolwenta roku w kieszeni i możesz przebierać w szkołach jak w ulęgałkach. Ja mam swoją działkę i idę do „Kopernika”, bo tam się nie uwstecznię jako informatyk. Już nawet nie mówię, że zrobię postępy, ale przynajmniej utrzymam to, co mam. A o maturze to się pomyśli za dwa lata. Wiem, co mówię.

– Pieprzenie w bambus – podsumowałem ze złością, bo wiedział, co mówi.

Krzyś miał łeb do internetu i elektroniki, więc radził sobie w szkole po swojemu. Tak jak postępy na swojej działce robił po swojemu. Szkołę traktował z pobłażliwością Tego, Który Wie Lepiej. I czasami miał rację... Zwyczajnie było mi żal, że sąsiad i najlepszy kumpel pójdzie do innej budy.

– Wiem, co mówię – powtórzył. – A jak mi dasz dobre zdjęcia na stronkę ekologiczną, to skończę ją w tym miesiącu. Uciulałem tyle punktów, żeby mieć wyróżniające zachowanie i średnią powyżej normy. A potem do „Kopernika”. Trzeba sobie radzić w życiu.

Stronka ekologiczna... Na wspomnienie Sójki zrobiło mi się, jak zwykle, nieco... no... ambiwalentnie... Fajna dziewczyna, właściwie to moja dziewczyna, jeśli o człowieku można powiedzieć „moja”. Niestety, na punkcie ekologii nieco zwichrowana lub – jak mawia szkolny król hakerów – „ma rapla z rzerzutką”. Regionalna Strona Ekologiczna, psiakrew.

– Master, jak chcesz z nią być, to nie narzekaj, tylko rób te zdjęcia. Dałeś się omotać druidce, to cierp i nie marudź. Mnie też wrobiłeś w ten projekt, więc bądź mężczyzną – bezbłędnie czytał w moich myślach.

– Zamknij się, tępy technokrato – mruknąłem. – Gdyby nie ja, tobyś nie wiedział, że oprócz netu jest jeszcze jakiś inny świat – trzepnąłem go lekko w rudą łepetynę.

– Świat elfów, krasnoludów i pomyślonych humanistów – zarechotał i pociągnął mnie za kucyk.

Nie zdążyłem mu oddać, bo zza rogu korytarza wypłynęła właśnie Sójka.

– Cześć, mięsożerni, jak tam testosteron? – uśmiechnęła się szeroko na powitanie.

Promienny uśmiech nie oznaczał jeszcze, że jesteśmy bezpieczni. I tak mieliśmy szczęście, że uznawała nas za istoty

o ilorazie inteligencji wyższym nawet od wysoko notowanych w jej świecie delfinów.

Gogel spojrział szybko w okno. Szybko, ale i tak za wolno.

Złapała go za podbródek i przyjrzała się podbitemu oku.

– Ładnie się goi – stwierdziła fachowo. – Przykładałeś rumianek, wojownik?

– Mrożone mięso przykładałem – odciął się Krzyś. – Okłady ze zdechłej krowy lepiej działają niż jakieś zielska.

Darli ze sobą koty od podstawówki i dobrze im z tym było, więc się nie wtrącałem. Zresztą Ania nie musiała wiedzieć, że Krzyś oberwał od Packera i jego kumpli za konkret, a nie w zwykłej bójce. Tak samo jak nie musiała wiedzieć, że przykłada na oczy torebki po herbacie rumiankowej, gdy siedzi po dwanaście godzin przy kompie.

Sójka była drobna, ale na tyle silna, że utrzymała podbródek przedstawiciela niższego gatunku, póki nie skończyła oględzin.

– Wyniki podwyższonego testosteronu można też usuwać, przykładając mrożony szpinak. Po co zabijać zwierzęta.

– Bo szpinak ma konserwanty, od których można oślepnąć lub, co gorsza, zostać wegetarianinem – Krzyś lubił mieć ostatnie zdanie.

Przeszliśmy w trójkę to i owo, ale niektóre zachowania mądrze nazywane „relacjami interpersonalnymi” są niezmiennie. Pogodzenie tych dwojga nastąpi zapewne dopiero na sądzie ostatecznym. A i wtedy nie wiadomo, czy nie będą siali popłochu w Dolinie Jozafata.

– Master, zrobisz te fotki do piątku? – zignorowała Gogla, mając w zasięgu nową ofiarę.

– Jasne. Mam tak podwyższony testosteron, że upoluję nawet Łosia Superktosia – uśmiechnąłem się, nie zastanawiając się nawet, ile dni zostało do piątku.

– I za to cię lubię – cmoknęła mnie w policzek i odwróciła się na pięcie. – W radoszowskich lasach nie ma łosi. Brakuje nam dzika i dzięcioła – rzuciła przez ramię.

Krzyś patrzył, jak odchodzi, powiewając lnianą sukienką, i nad czymś dumiał.

Ania twierdziła między innymi, że włókna sztuczne są, jak sama nazwa wskazuje, sztuczne, więc nienaturalne. Trudno było odmówić jej rozumowaniu logiki, a w swoich lnianych i bawełnianych kreacjach wyglądała naturalnie i całkiem no... ładnie po prostu. Taka sobie sukienka na takiej sobie dziewczynie, a poczułem, że kumpel gapi się kilka sekund za długo. Nie ma się co okłamywać, Sójka miała w sobie coś... Nawet nie wiem dokładnie co, ale na mnie to działało.

– Wpadłeś, chłopie – westchnął teatralnie. – Po co jej łos, skoro ma dwóch jeleni do roboty.

– Wolę mieć na karku jedną ekomaniaczkę niż pięciu dresów – nie pozostałem mu dłużny.

Dotknął palcami powieki opuchniętego oka.

– Na jedno wychodzi. Ona też składa propozycje „nie do odrzucenia” – wyszczerzył łopatowate zęby.

Dzwonek przerwał ciekawie zapowiadającą się dyskusję. Jedną z wad naszej historycy była punktualność. Czego by nie mówić, Krzyś potrafił dawać sobie radę. Niby to w wielkiej tajemnicy wcisnął Packerowi jakiś lipny skrót na ogólnie dostępną stronę kuratorską, zaklinając się, że całą noc łamał zabezpieczenie. A buractwo kupiło ten kit, zadowolone, że grzeczny haker jest coraz bliżej bazy testów gimnazjalnych. Zastanawiałem się, czy Gogel potrafiłby zdobyć te testy. Wątpliwe, a pytanie, ile potrafi namieszać w necie, byłoby nietaktem. I tak musiałby skłamać, że nie ma pojęcia o łamaniu zabezpieczeń. Był w tym za dobry, by się chwalić. Ale jego figle nie były złośliwe. Kiedyś zwierzył mi się, że gdyby potrafił

zrobić naprawdę wielki numer, to dostałby do piętnastu lat w zawieszeniu, ale niewykluczone, że przyjęliby go bez egzaminu na politechnikę i daliby mu stypendium. Marzenia ściętej głowy? Możliwe, ale miał chłopak cel w życiu.

Na razie zadowalał się sprzedawaniem ludziom marzeń. Chcecie mieć swój portret z gwiazdą rocka i imiennym autografem? Wiadomo, do kogo uderzyć... A że geniusz potrafił dużo więcej niż obrobić kilka zdjęć, wiedziałem tylko ja. No, może nie tylko, ale Krzyś był za mądry na to, żeby handlować fałszywymi świadectwami. Robił takie sztuczki tylko dla własnej satysfakcji. Nad moim łóżkiem wisiał „oryginalny” dyplom ukończenia studiów na wydziale filologii japońskiej z pieczęciami i podpisami rektora i dziekanów uniwersytetu w Tokio. Spodziewałem się, że na urodziny prezentuje mi podpisane przez Tolkiena runiczne obywatelstwo Śródziemia. Czemu nie? Handel marzeniami niejedno ma imię, o czym przekonało się kilka osób (w tym Packer), które znalazły z pomocą internauty nawet nietypowych patronów do bierzmowania. Jak się to kiedyś wyda, to Gogel ma przerąbane na całej linii, ale póki co nawet katechetka się nie zorientowała i jakoś się to kręci. Było nie było – prowadząc sesje gier fabularnych, gdzie dzielni wojownicy walczą ze złem i zazwyczaj zwyciężają, też sprzedają marzenia.

Dumałem nad tym wszystkim, czekając na Anię. Pasek torby z aparatem fotograficznym i obiektywami wpijał mi się w ramię. Tak... Krzyś potrafił sobie radzić, więc miał wolne popołudnie, a potencjalny absolwent roku stał jak palant na przystanku, spoglądając w stronę bloków. Sójka mieszkała prawie naprzeciwko mnie i Gogla, ale nie w domku, tylko na osiedlu Awaryjnym, które swą nazwę wzięło stąd, że pierwotnie było przeznaczone dla najlepszych fachowców zatrudnionych w kopalni i wzywanych do interwencji w wypadku

awarii. No i, rzecz jasna, dla wyższych rangą pracowników dozoru. Dwupiętrowe bloki kiedyś kojarzyły się z luksusem posiadania telefonu i dobrym zarobkiem. Skorzystaliśmy na tym tyle, że w jednym z budynków urządzono przedszkole, w którym nie było uprzedzeń klasowych, regionalnych ani politycznych. Potem górnicy przeróżnych „awaryjnych” specjalności przeszli na emerytury, a w blokowisku obok normalnych lokatorów zagnieździło się pokolenie ekologów i innych dewiantów. Przedszkole zlikwidowano. Szkoda. Spędziliśmy tam z Krzysiem wiele pięknych chwil. Do dziś nie wiem, dlaczego pani przedszkolanka blednie i przetyka ślinę, kiedy mówimy jej na ulicy „dzień dobry”.

– Nic nie mów – Sójka podeszła od tyłu i musnęła brązowymi włosami moje ucho.

Nic nie powiedziałem. Cholerne babskie sztuczki.

– Musiałam znaleźć opiekunów dla trójki małych, bezbronnych kotków.

Delikatnie mówiąc, mało mnie obchodziły bezbronne kotki, ale dla niej byłbym gotów zająć się przez kilka dni jednym... albo i dwoma.

– Czy to nie piękne, że między dzielnicami miasta rośnie las? – przeskoczyła na inny temat.

– Zaiste, mało który powiat grodzki może się poszczycić takim osiągnięciem – przytaknąłem ironicznie.

– Nawet Toruń mógłby nam zazdrościć! – wypięła dumnie pierś przyodzianą w trykotkę ze świerkiem i logo toruńskiego MPO.

– Ja im nie zazdrozczę pierników. Chodźmy na skróty – powlokłem ją za sobą, zanim rozpoczęła tyradę o świątłych toruńskich ekologach.

Słyszałem już tyle razy o zlocie miłośników natury, że zaczynałem dostawać wysypki na dźwięk słów: „A w Toruniu

powiedzieli...”. Teraz przyszła wiosna i pamiątkowa koszulka weszła w użycie. Nie żebym wstydził się chodzić z dziewczyną reklamującą utylizację odpadów, ale nie każdy to zrozumie i czasem lepiej nie rzucać się w oczy. Cierpiałem więc w milczeniu.

Ruda Śląska jest miastem od niecałych pięćdziesięciu lat. Poszczególne dzielnice mają nawet siedemsetletnią tradycję, co powoduje, że każda ma własne centrum, a pomiędzy kopalniami, blokowiskami i marketami można nadal spotkać sarnę lub zająca. Zielone płuca czarnego Śląska. Rodzice Sójki chyba przeczuwali, kogo wydadzą na świat, bo przeprowadzili się zawczasu w naturalne środowisko obrońców przyrody.

Wziąłem ją za rękę i weszliśmy w zagajnik dzielący Hałembę od Kochłowic. Wystarczyło przejść za osiedlem przez tory wiodące do kopalni. Wiadukt był kilkaset metrów dalej i jakoś nie odczuwaliśmy potrzeby kroczenia legalną drogą. Ścieżka przez torowisko była uznawana za „pożyteczne zło konieczne”, więc mieszkańcy używali tego skrótu, a Służba Ochrony Kolei gwizdała z rzadka albo wcale, a mandatów nie wlepią już od dawna. Jacyś przedsiębiorczy ludzie szcepili nawet kilka podkładów kolejowych, tworząc kładkę nad rowem przy torach. Grzechem byłoby nie uszanować ich trudu i drałować dookoła.

Ani przez piętnaście lat życia nie przyszło do głowy, że przecorano brzeg lasu, by mógł powstać kanion kolejowy do transportu węgla. I chwała Bogu! Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Kilkudziesięcioletnie drzewa przeplatały się z młodymi brzoźkami, wytrwale porastającymi stare hałdy. Mniej odporne sosny usychały od dołu, wyciągając rachityczne gałęzie ku słońcu. Dęby, cisy i buki wycofały się w głąb lasu, jakby uznały, że bezpośrednie sąsiedztwo przemysłu jest dla nich afrontem. Jarzębina nie zdecydowała jeszcze, gdzie

się osiedlić, i koczowała tak na obrzeżach, jak i w środku śródmiejskiej puszczy.

Inna sprawa, że przez ten nieszczęsny las, którego kolejną część wycięto niedawno, podczas wytyczania trasy autostrady, Sójka była, jaka była. Wyburzenie kilkudziesięciu domów przyjęła ze stoickim spokojem, ale gdy brygady budowy dróg pojawiły się na obrzeżach zagajników, odbiło jej do końca na punkcie ekologii.

Krzyś twierdził, że jak się zazieleni, to jej minie. Chodziło mu chyba o to, że wały przy autostradzie porosną trawą, bo Ania to już bardziej „greenpeace’owata” być nie mogła. Chyba... Tłumaczenie jej, że autostrada się przyda, że lasów to nadal mamy pod dostatkiem, a przesiedleńcy dostali nowe parcele i odszkodowania, było rzucaniem grochem o ścianę. Pomstowała tylko na morderców drzew i ledwie udało mi się z pomocą Gogła wybić jej z głowy pomysł przykucia się do spychacza na znak protestu...

Na taki pomysł nie wpadł nawet właściciel parceli, któremu geodeci wytyczyli trasę budowy w poprzek zabudowań. Gość miał teraz podwórko, kilka grządek, garaż, dwie ściany i schody do nieba, bo resztę domu diabli wzięli, a raczej budowlancy, co zresztą czasem na jedno wychodzi. Za to miał wjazd do lasu i na autostradę prosto z miejsca parkowania... Zdaniem budowniczych i urzędników nie ma powodów do narzekań.

Na innych polach Sójka była całkiem miłą i rozumną istotą. Gdy już wybiliśmy jej z głowy rzucanie się pod walec drogowy, scalanie się łańcuchami z buldożerem i inne pomysły sabotowania robót drogowych, zaczęła myśleć, jakie korzyści może jej dać autostrada. No i tak omotała ekologiczną oracją jednego z inżynierów, że (z poczucia winy albo dla świętego spokoju) osobiście przywiózł przed bramę gimnazjum ciężarówkę piaskowców do budowy skalniaka.

Dyrektorka była nieco zaskoczona tym gestem, ale że i tak mieliśmy w planie założenie szkolnego ogródka, nie protestowała. No, skoro tak mu zależało, że sam przytargał ponad tonę kamieni, to już nie wypadało odmówić przyjęcia darowizny, choć głązy były niewiele mniejsze od pradawnych celtyckich menhirów.

Ania dostała ustną naganę i pisemną pochwałę, więc wyszła na swoje, a skalniak okazał się całkiem zgrabny, bo miała rękę do roślin. Nas i innych jeleni zatrudniła do prac niewolniczych przy usypywaniu kopców ziemi.

Z taką to istotą los mnie związał. I wcale nie miałem do niego pretensji, idąc przez las w jej towarzystwie.

– Dzięcioły są głębiej – rzuciłem mimochodem.

– Nie musisz zasłaniać się dzięciołami, żeby mnie objąć – przytuliła się. – Sama ci powiem, kiedy dotrzemy do terenu bezkrwawych łowów.

– Wiem, ale obowiązek przede wszystkim – stwierdziłem nieśco szczerze i czym prędzej połączyłem przyjemne z pożytecznym.

Albo dzięcioły nie chciały nam psuć spaceru, albo Ania nie szukała zbyt uważnie, bo leśną ścieżką, szumnie nazywaną ulicą Orzeszkowej, doszliśmy po niespełna godzinie na obrzeże Kochłowic.

A może zapomniała o ptakach, gdy zobaczyła tablicę: „Cenne stanowisko rozrodu płazów”. Tym leśnym bajorkiem opiekowało się inne gimnazjum, a żaby nie wiedziały nawet, że są zarzewiem konfliktu międzyszkolnego i rozmnażały się bez bezpośredniej pomocy ekologów. Szczęście, że się żadna nie zamieniła w królewicza, bo do całowania żab nawet ekolog się nie przyzna, a obecność księcia z bajki w leśnym stawie zakłóciłaby dodatkowo równowagę ekosystemu.

Nieco dalej las przecinała łącząca dzielnice asfaltowa droga, za którą rozpościerały się główne tereny łowieckie zarów-

no myśliwych, jak i fotografów. Oslawione lasy radoszowskie lub, jak kto woli, kochłowickie. Dla Sójki było to drugorzędne. Głównym celem wyprawy było spotkanie z przedstawicielem rodziny Dendrocopos.

Wdrapała się z kocią zwinnością na porośniętą trawą bun-
kier po drugiej stronie dwupasmówki i spojrzała w słońce.

– Do zachodu jeszcze godzina. Na dziki za wcześnie, ale na dzięcioła mamy szansę.

Siadłem na wieżyczce schronu, pamiętając po przedwojennej granicy państwa, i wyjąłem aparat. Założyłem długi obiektyw i zacząłem przepatrywać okolicę.

Elfka i Wójownik odpoczywali na kurhanie. Trakt wiodący ku grodzisku był pusty... – z przyzwyczajenia zacząłem wplatać w świat realny elementy gry. W końcu moje przewisko wzięło się właśnie od prowadzenia sesji gier fabularnych i zaczytywania się fantastyką.

Ryk silnika rozległ się tak nagle, że odwróciłem głowę, nie odrywając aparatu od oka. Zresztą przez obiektyw było lepiej widać. Motocyklista wyskoczył z bocznej uliczki za wiaduktem. Przejechał kilka metrów na tylnym kole, dwukrotnie dobijając przednim o asfalt, nim opanował hondę, i z piskiem opon przemknął obok nas. Spłoszone ptaki poderwały się z gałęzi, a szarak, który stracił głowę w przenośni i prawie dosłownie, wyskoczył z przydrożnych krzaków wprost pod koła motoru.

– No to dzięcioły i dziki możemy sobie podarować – warknęła Ania. – Debil przepłoszył wszystko w promieniu pięciu kilometrów. – Bandyta! Łapać mordercę! – wrzasnęła ni w pięć, ni w dziewięć, do końca dezorientując zajęczka, który zastygł na środku drogi, nim dotarło do niego, że tym razem los nie okroił mu marchewki życia, i nim czmychnął w las.

– *Jeździec na czarno-szarym rumaku przegalopował obok wędrowców, zasiewając w ich sercach ziarno niepokoju...* – próbowałem ratować sytuację.

– Marku, a może rzucisz na chwilę to swoje Śródziemie i złapiesz jakąś okazję...

Zlazłem z bunkra i stanąłem na skraju ulicy. Nie było sensu wdawać się w sprzeczki.

– Jeśli się nie brzydzisz podróżowania pojazdem zanieczyszczającym środowisko, to trzysta metrów stąd jest przystanek autobusowy. Większa szansa niż łapanie okazji na brzegu lasu.

– Tym razem wykazała więcej rozsądku niż zazwyczaj i tak to Elfka i Wojownik, ostawiwszy kurhan, podreptali ku cywilizacji.

– Widziałeś? – szarpnęła mnie za ramię.

– Nie, a co? Dzik? – wróciłem myślami na ziemię.

– Stary Kapica, ten kłusownik, mignął mi między drzewami.

– No to nie nam jednym gościć na motorku spieprzył polowanie. Powinnaś się cieszyć. Choć wątpię, żeby ktoś tu kłusował zawodowo. Aż takie wielkie to te lasy nie są – uśmiechnąłem się.

– Co ty tam wiesz – westchnęła.

Przygotowałem się na dłuższy wykład z historii okolicznych lasów z uwzględnieniem parku przyrody w Murckach, ale autobus przybył mi z odsieczą. Wracając łukiem przez Kłodnicę w stronę Halemby, minęliśmy karetkę pogotowia i radiowóz. Jakoś nie dało mi to do myślenia. Wyłączyłem w mózgu fonię i skoncentrowałem się na oglądaniu migdałowych oczu Ani, miotających wojownicze błyski.